

Polskim elektrowniom wiatrowym grozi zamknięcie jeszcze przed oficjalnym otwarciem

Walka z wiatrakami

Na pytanie, czy Polsce zależy na rozwoju ekologicznej energetyki, każda odpowiedź jest dobra. „Tak” – bo na ten cel państwo już udzieliło prawie 50 mln zł bezzwrotnych dotacji oraz 100 mln zł preferencyjnych kredytów i kasa ciągle jest otwarta. „Nie” – bo pierwsza komercyjna farma wiatrowa ma – jeszcze przed oficjalnym otwarciem – zostać zamknięta, odłączona od sieci rozdzielczej przez państwowy zakład energetyczny, który nie chce zielonego prądu, choć do takich zakupów zobowiązał go minister gospodarki.

JOANNA SOLSKA

Skandal może przekroczyć granice kraju, ponieważ część środków otrzymaliśmy w ramach tzw. ekokonwersji od zagranicznych wierzycieli. Umorzyli oni część długów pod warunkiem, że pieniądze zamwestujemy w ochronę środowiska naturalnego. Ale nie o taki efekt inwestycji im chodziło.

Wiesław Wójcik, wiceprezes Urzędu Regulacji Energetyki, nie ma wątpliwości, że powinniśmy lansować energię pochodząca

niewielko nadkruszyć, ale nie uczynią tego bez zgody... monopolisty. Tylko miejscowy zakład energetyczny może bowiem zielony prąd od farmy odkupić. Ona sama nie jest w stanie przesłać go do innego odbiorcy, musi korzystać z pośrednictwa lokalnego monopolisty.

– Koszalin nie dotrzymał zobowiązania, że odkupi od nas prąd – skarży się Romaniszyn. – Teraz mówi, że taniej sprzedała mu go elektrownia wodna we Włocławku, należąca do tego samego lobby energetycznego. Mój prąd skłonny jest kupić warszawski STOEN, ale może to uczynić tylko za pośrednictwem Koszalina. Powinienem więc z nim zawrzeć umowę przesyłową, ale zakład stawia takie warunki techniczne, których siłownia wiatrowa nie jest w stanie spełnić. Na przykład zaplanowania wielkości produkcji miesięcznej z dokładnością 10–15 proc. W razie niedotrzymania limitów – grożą wysokie kary. W konsekwencji grozi mi odcięcie od sieci.

Wiatr w oczy

Kierunek wiatru, który miał napędzać wiatraki, nagle się zmienił – teraz wieje w oczy ich właścicielom. Pozostali inwestorzy, którzy właśnie kończą budowy, są skazani na ten sam zakład energetyczny w Koszalinie, wszystkie farmy położone są bowiem w tej samej okolicy. Jeśli monopolista nie wykaże dobrej woli, okaże się, że około 200 mln przeminęło z wiatrem. Jeśli bowiem Koszalin nie dogada się z Romaniszynem, nic nie wskazuje na to, że więcej wskorają pozostali.

Mariusz Popiołek z Eko Funduszu uważa, że jest to zмова dystrybutorów energii, którzy ignorują rozporządzenie ministra gospodarki. Zaś Urząd Regulacji Energetyki, który powinien je egzekwować, wydaje własne poufne wytyczne, które kłócą się ze wspomnianym przepisem. Dystrybutorzy mówią, że mają cichą zgodę URE na to, aby zakup energii ze źródeł odnawialnych ograniczyć do 1,8 proc. Czyli do ilości, które są w stanie kupić z dużej elektrowni wodnej we Włocławku. Żadnymi wiatrakami nie będą więc sobie zwracać głowy.

Wiesław Wójcik, wiceprezes URE, mówi wprost, że rozporządzenie ministra jest nieprecyzyjne, trudno więc je egzekwować. Przepis bowiem nakazuje energetyce kupować prąd ekologiczny „po kosztach uzasadnionych”, a powinien jeszcze ustalić jakiś ich górny pułap. Brak precyzji, zdaniem prezesa, rozbudził nadzieje właścicieli wiatraków na łatwe pieniądze. Za zielony prąd liczą sobie o wiele więcej, niż kosztuje energia produkowana z węgla. Gdyby więc każdy zakład kupił te 2,4 proc. prądu od elektrowni wiatrowych, to przez wyliczył, iż prąd dla odbiorcy mógłby także zdrożyć o 2,4 proc., a to – ze względów społecznych – jest niedopuszczalne.

Zupełnie inny rachunek przedstawia Mariusz Popiołek z Eko Funduszu. Jego zdaniem, gdyby nawet mocy w elektrowniach wiatrowych było dziesięć razy więcej niż obecnie, to cena jednej kilowatogodziny wzrosłaby nie więcej niż o jedną dziesiątą grosza, czego odbiorcy w ogóle by nie odczuli.

Romuald Gronkiewicz z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska zauważa też, że obecna cena energii konwencjonalnej nie zawiera wszystkich kosztów i należy się liczyć z tym, że będzie ona rosła. Choćby opłaty za korzystanie ze środowiska, jakie ponosi tradycyjna energetyka, są u nas niższe niż w krajach UE. Nie liczymy też kosztów, jakie ponosi społeczeństwo z powodu zanieczyszczonego środowiska.

Wszyscy rozmówcy, łącznie z wiceprezsem URE, zgadzają się też co do tego, że główną przyczyną walki brudnej energetyki z wiatrakami jest obrona jej monopolistycznej pozycji i niechęć do dopuszczenia konkurencji na rynek. Zławsza że obecnie podaż energii przewyższa zapotrzebowanie, więc i bez wiatraków prąd sprzedaje się trudno. Energetyczne lobby broni więc własnych interesów nie troszcząc się o to, że interes społeczeństwa niekoniecznie jest z nimi tożsamy. Na razie wygrywa walkę nie tylko z wiatrakami, ale i z własnym ministrem, który ograniczył się do wydania rozporządzenia, nie zwracając sobie głowy jego egzekwowaniem. URE zaś uważa, że na rozliczanie zakładów z rozporządzenia jest stanowczo za wcześnie. Przepis obowiązuje od stycznia, a do końca roku jeszcze daleko.

Krystian Stachowiak, prezes spółki Energia-Eco ze Szczecina, szuka odbiorcy na zielony prąd od początku roku. Rozesłał oferty do 17 największych spółek dystrybucyjnych w kraju. Większość je zignorowała. Nieliczni odpowiedzieli, że zainteresowanie ofertą uzależniają od ceny, jaką zaakceptuje im URE. Urząd zaś, który ustala pułap cen za prąd, uważa, że wiatrakom należy płacić tyle, ile tradycyjnym dostawcom. – Niech właściciele elektrowni wiatrowych negocjują z NFOŚ, aby przesunął im spłatę pożyczek o kilka lat – sugeruje Wiesław Wójcik.

Wystawieni do wiatru

Sytuacja staje się coraz bardziej dramatyczna. Ignorując wytyczne UE w sprawie rozwoju energetyki z odnawialnych źródeł pogarszamy swoją pozycję negocjacyjną. Polska traci też wiarygodność wobec wierzycieli zagranicznych. Darowane nam długie przeznaczyliśmy wprawdzie, zgodnie z podjętym zobowiązaniem, na inwestycje proekologiczne, ale wszystko wskazuje na to, że pieniądze się zmarnują. Cóż bowiem z tego, że zbudowano nowoczesne wiatraki, skoro prąd z nich nie popłynie, gdyż nikt go nie chce. I wreszcie inwestorzy, którzy uwierzyli w zapewnienie rządu, że zależy mu na rozwoju zielonej energetyki – czują się wystawieni do wiatru. Państwo dopuszcza bowiem do marnotrawstwa zarówno swoich jak i ich pieniędzy. Nie mogą sprzedać prądu nigdy nie będą w stanie spłacić zaciągniętych pożyczek.

Zdaniem wiceprezesa URE zapasy z wiatrakami potrwają jeszcze kilka lat. Najwyraźniej urząd nie zamierza w nie ingerować.

Okazuje się, że w państwie, które permanentnie cierpi na brak pieniędzy, łatwiej jest znaleźć 200 mln zł, niż spowodować, aby były one racjonalnie wykorzystane.

JOANNA SOLSKA

ze źródeł odnawialnych, na przykład wiatrową. Szczególnie w rozmowach z Unią Europejską, która założyła, że do 2010 r. będzie zużywać nie mniej niż 10–12 proc. zielonej energii. Nasz rząd postanowił iść tą samą drogą. Strategia rozwoju energetyki zakłada osiągnięcie podobnego celu, ale etapami. Na razie, do końca tego roku, każdy zakład energetyczny do tej pory bazujący na prądzie z węgla musi zakupić co najmniej 2,4 proc. energii ze źródeł odnawialnych. Stosowne rozporządzenie w tej sprawie wydał w grudniu 2000 r. minister gospodarki.

Wiatr w plecy

Potencjalni inwestorzy poczuli wiatr w plecy. Minister gospodarki gwarantował im zbyt, zaś Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska korzystnie oprocentowane pożyczki. Natomiast aż na 30 proc. wartości inwestycji można było otrzymać bezzwrotną dotację z Eko Funduszu. Do tej pory wiatraki, na swoje własne potrzeby, stawiali głównie hobbysci lub osoby, które zachęcili zagraniczni sponsorzy. Teraz po pomoc z publicznej kasy ustawiła się kolejka inwestorów, którzy postanowili wybudować farmy wiatrowe w celach komercyjnych, angażując w to także swoje prywatne środki.

Pierwsza komercyjna elektrownia wiatrowa stanęła w Barzowicach koło Darłowa, jej moc wynosi 5 megawatów. Inwestycje wartości 25 mln zł w 80 proc. sfinansowano ze środków publicznych. – Połowę na korzystnych warunkach pożyczył Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska, 30 proc. darowała fundacja rządowa Eko Fundusz, 20 proc. to moje własne pieniądze – wylicza Wojciech Romaniszyn, właściciel farmy Elektrownie Wiatrowe SA.

Z publicznej pomocy skorzystała też trzy razy większa Energia-Eco, której budowa o wartości prawie 98 mln zł zakończy się w połowie sierpnia – dodaje Mariusz Popiołek z Eko Funduszu. Z dotacji i pożyczek skorzysta także Polwin (koszt 20,7 mln zł) oraz gmina Kisielice (wartość inwestycji 7 mln zł). Są to farmy budowane według najlepszych technologii. Każda z nich, aby uzyskać dotację, musiała spełnić warunki określone przez miejscowy zakład energetyczny – podkreśla Popiołek. W kolejce po wsparcie czeka piętnastu następnych inwestorów.

Wojciech Romaniszyn zapewnia, że Zakład Energetyczny Koszalin obiecywał, iż zakupi prąd z farmy. Po zakończeniu budowy właściciel Elektrowni Wiatrowych SA stanął do przetargu, jaki w kwietniu ogłosił zakład. Nie poinformowano go o jego losach. Otrzymał natomiast pismo, w któ-

rym niedoszły odbiorca prądu zapowiada, że odłączy farmę od sieci rozdzielczej Zakładu Energetycznego Koszalin SA. Oznacza to, że Elektrownie Wiatrowe SA w Barzowicach zostaną zamknięte, zanim jeszcze zostały otwarte.

Produkcja i przesył energii są zmonopolizowane. Wiatraki próbują ten monopol

Z węgla, wody i wiatru

Średnie ceny energii z różnych źródeł w 2000 r.

(w złotych za MWh)

z węgla brunatnego	105,7
z węgla kamiennego	142,0
z dużych elektrowni wodnych	130,5
z małych elektrowni wodnych	165,5
z biogazu	221,7
z elektrowni wiatrowych	222,7

Źródło: URE

